













go, z kim mu wypowiedział, co o nim myśle... Będzie się mścił—wiem o tem—ale już nie mogę wytrzymać... mądrego... Dobrześ zrobił, majsterku, nie bój się, nie ci nie będzie. Zmają go wszyscy dobrze. Ham... do Jana się czepim, kiedy ten biedaczysko w takim ambarysie... Złota mu lada dzień... już... już... Byles u niego? — Byłam po obiedzie. Jęczy nieboraczka, aż się serce kraje. Jan płacze... dzieci zawodzą... No! ja też rozbeczalam się... — Trzeba może posłać do miasta po doktora albo akuszerkę?... — Posłalam Basię, ale—jak na złość—doktor wyjechał, a akuszerka siedzi przy naczelnikowej strażnicy. I ani słyszeć o dziewczynce nie chce... Chora mówi, że to jej nie pierwszym... No, chodź na herbatę, majsterku.

W domu, postawionym tuż przy pianie, a o kolonijm ogrodnim, były oprócz sieni i kuchni 3 pokoje: najmniejszy służył za sypialnię i kancelaryjną, tosia, większy był sypialnią matki a zarazem jadalnią, wreszcie największy, najwidniejszy, zawieszony obramkami Stanisława, stanowią salon bawialny.

Antos zastanawiał z przejazdem drożnikiem Janem, która tylko przedziałła kuchnię od ciałnej izdebki, w której gnieździła się liczna rodzina drożnikowa. Krwawo zachodziło słonec, jamię promienie w wietrzach rozniekolorowem i błyski szymbach ubogiej

do malarstwa nie ma żadnego pociągu, do uprawiania poezyi—nie posiada danych... Za to świat sztuki scenicznej nęcił go czarami swemi. Postanowił zostać aktorem. Po ukończeniu kilku klas gimnazyjalnych, wstąpił do szkoły dramatycznej. Matka z trwogą patrzyła na to rozmiłowanie się Antosia w teatrze, drżała oń... odradzała mu scenę... przedstawiała w najczarniejszych kolorach los i karierę artysty... Ale kto to zdola powstrzymać młodości porwy? Jak na to, jeden z kolegów szkolnych Antosia założył nową trupę i zaproponował mu zaangażowanie się do niej. Antos z dumą przyjął propozycję kolegi i wyjechał na prowincyję.

Dla matki rozpoczęły się dni smutku i tęsknoty za jedynakiem. Antos roił o sławie, o pracy, o tem, że zdola i sam się utrzymać z przyrzeczonej mu gaży i matce jeszcze coś posłać... roił, dopóki się nie spotkał oko w oko z rzeczywistością i nędzą.

Po upływie miesiąca, trupa zorganizowana byle jak, rozbiła się; Antos angażował się do innego towarzystwa.

Tu, jako nowicyjusz, traktowano go po macoszemu, drwiąc z braku rutyny, nie dając ról, wyznaczając najniższe marki (wynagrodzenie aktorów w tak zwanem "działowem" towarzystwie)... Antos i moralnie i finansowo upadał z dniem każdym... Przejście ze sfery obywatelskiego domu w chaos teatralnych stosunków nie przyszło mu z łatwością... Nie mógł żyć się z zajęciami i zwyczajami tutaj panującymi. W dodatku nędza, nędza, o jakiej nie miał pojęcia,

izdebki. Duszo w niej było i parno, pomimo otwartych drzwi, a na starość, spróchniałem łożu, wije się w bolesnych dość młoda jeszcze ale sterna niewygodami życia kobieta... Na komnie resztki niespożytego jedzenia w misce i garnku.

Na progu izby matę, dwuletnią wyżej dziewczynką, która się spokojnie, oglądaniem swoich pucołowatych nóżek, które od czasu do czasu z prawdziwą przyjemnością całuje, mlaszcząc językiem. Dwoje starszych wybiegło w pole grabić siano. Najstarsza dziewczynka, z poważną nad wiek miną, siedzi smutna u nogę matczyńskich, opędzając z nad chorej gąsienią rolę dokuczliwych much. U wężłowia, trzymając spoczoną rękę żony w swojej, siedzi znekany Jan... Ciszę letniego wieczoru przerywa tylko od czasu do czasu gwizd manewrującej lokomotywy, lub bolesny jęk chorej...

— Jasiu, Jasiu... ja nie wytrzymam—ratuj mnie! — Cicho, cicho, Marysiu, nie krzycz, to ci go rzej zrobi... Nie ma rady, cierpieć musisz nieboraczko. Nasza pani poszła po akuszerkę do miasta, ale zajęła... Oż robieś, trochę cierpliwości... a przejdzie... — Oj, nie przejdzie, nie przejdzie. Oj, dziś już mój koniec, już... Zostawig cię samego z dziećskimi... — Nie gadaj tak, Marysiu, nie gadaj! Boga się bój!

Stońce schowało się po za las... dzieci wróciły do domu... mrok pomalutku tułi ziemię, do słońca, wszystkie miko... Krwawo zachodziło słonec, jamię promienie w wietrzach rozniekolorowem i błyski szymbach ubogiej

rzalnych jeszcze jabłek... Nad dogorywającym koniskiem lamentował żyd, szlochając, zlorzecząc, przeklinając w kilku na raz językach: los, siebie, lokomotywę kolej i sprawcę tej katastrofy. Nieprędko od niego i do wystraszonego a drżącego Michasia można się było dowiedzieć, co się właściwie stało. Kiedy wreszcie odzyskali przytomność, jeden gadał przez drugiego, jeden zwał na drugiego winę. Ze sprzecznych tych opowiadań, dozorca mógł jednak wywnioskować, co następuje: żydowi spieszyło się do niasteczka, nie chciał czekać na przejście pociągu, zapewniając, iż do tego jeszcze dość czasu, bo go jeszcze nie widać. Michas nie chciał go puścić. Rozgniewany oporem małego dziecka, żyd oderwał je od baryjery, odsunął ją i popędził konia. W tej chwili pociąg wybiegł z lasu, wpadł na wóz, roztrzaskał go i pomknął dalej. Tymczasem—na stacyi rozszła już kilkanaście telegramów w różne strony o zaszłym wypadku. Naczelnik nie żałował pióra, aby przedstawić rzecz w najstraszniejszych kolorach, a przytem nie mógł dawać, żeby w raporcie nie zwał całej winy na drożnika i dozorcę.

Antos nie założył rąk bezczynnie. Z pomocą Michasia i żyda ulokował zdychnięte zwierzę w swojej stajence, żydowi ofiarował nocleg w stodole, a potem zajął się stylizowaniem telegramu o zaszłym wypadku do naczelnika dystansu. Noc mu przeszła bezsennie. Wiedział, że go czeka za to odpowiedzialność, lękał się o siebie i drożnika. I żyd nie spał całą noc, lamentując nad stratami...

Kiedy Michas powrócił do izby, z niemalem

